

Święty Augustyn – „Wyznania”

<Księga 8>

Spis treści

KSIĘGA ÓSMA	1
1. Pragnę Ci złożyć dzięki, Boże mój, opowiadając o Twoim miłosierdziu dla mnie	1
2. Odwiedziłem więc Symplicjana, który był ojcem duchowym biskupa Ambrożego.....	2
3. Dobry Boże, co to się dzieje w człowieku, że się bardziej cieszy z ocalenia duszy,	4
4. Przyjdź, Panie, i porusz nasze serca.....	5
5. Kiedy mi Twój sługa Symplicjan opowiedział to wszystko o Wiktorynie,.....	6
6. W jaki sposób wyzwoliłeś mnie z więzów zmysłowego pożądania	7
7. Ty zaś, Panie, jego słowami odwracałeś mój wzrok,	9
8. Wnętrze mojej istoty przestało być spokojnym domem.....	10
9. Dlaczego tak dziwnie się dzieje?.....	11
10. Niechaj sprzed Twego oblicza, Boże, znikną, jak gadatliwi zwodziciele.....	11
12. A skoro dociekliwa myśl zgarnęła z najskrytszych ostępów duszy całą moją nędzę.....	14

KSIĘGA ÓSMA

1. Pragnę Ci złożyć dzięki, Boże mój, opowiadając o Twoim miłosierdziu dla mnie. Niech moje kości, przeniknięte miłością do Ciebie, wołają: „Panie, któż podobny Tobie? Potargałeś pęta moje, Tobie złożę ofiarę chwały”. Jak je potargałeś, opowiem. A wszyscy, którzy Cię wielbią, usłyszawszy to, mówić będą: „Błogosławiony Pan w niebiosach i na ziemi! Wielkie jest, cudowne imię Jego!” Słowa Twoje wszczepiły się w moje serce. I ze wszystkich stron byłem przez Ciebie oblężony. Już nie wątpiłem w rzeczywistość życia wiecznego w Tobie, chociaż widziałem je zagadkowo, w zwierciadle.¹ Ale nie sprawiało mi już trudności pojmowanie niezniszczalnej substancji, z której się wywodzi wszelka substancja. Teraz tęskniłem już nie do tego, żeby być pewniejszym Ciebie, lecz tylko do tego, by mocniej w Tobie trwać. Tymczasem w moim życiu doczesnym wszystko było rozchwiane. Trzeba było oczyścić serce ze starego kwasu.² Pociągał mnie ku sobie Zbawiciel jako droga, ale wzdragałem się przed kroczeniem w trudach owej wędrówki. Zesłałeś mi wówczas natchnienie, dzięki któremu uznałem, że należy się udać do Symplicjana. Wiedziałem, że jest to dobry Twój

sługa, jaśniejący Twoją łaską. Powiedziano mi też, że od wczesnej młodości był bezgranicznie Tobie oddany. A zdążył już się postarzeć. Sądziłem, że skoro tak długo kroczył po dobrej, przez Ciebie wyznaczonej drodze, musi być bardzo doświadczony i bardzo wiele wiedzieć. W tym się nie myliłem. Chciałem, aby Symplicjan duchem wniknął w moja udrękę i wytłumaczył, w jaki sposób taki jak ja człowiek mógłby stać się zdolny do kroczenia ową drogą Twoją. Kościół, jak widziałem, był pełen ludzi. Ale postępowali oni bardzo rozmaicie. Mnie zaś dręczyło to, że się ciągle wikłam w sprawach tego świata. Był to okropny ciężar, bo już mnie nie rozpałała taka żądza zaszczytów i pieniędzy, jaka mnie przedtem skłaniała do dźwigania brzemienia niewoli. Te przynęty już gasły wobec słodyczy i blasku domu Twego, który umiłowalem. Ale nadal mnie pętało przywiązanie do kobiety. Zresztą apostoł nie zakazywał mi małżeństwa, chociaż zachęcał do czegoś lepszego, najbardziej tego pragnąc, aby wszyscy ludzie byli jak on sam.³ Ja, słabszy, wybierałem łatwiejszą drogę. I z powodu tej jednej namiętności wiklałem się też we wszystkie inne, pozwalając, by moje siły przeżerała troska. Zdawałem sobie sprawę, że małżeństwo, do którego mnie ciągnięto, zmusi mnie do znoszenia wielu rzeczy sprzecznych z moimi dążeniami. Usłyszałem już z ust Prawdy Twojej, że są trzebieńcy, którzy się sami na to skazali, dla królestwa niebieskiego.

Kto może pojąć — mówi Prawda — niechaj pojmie. Z pewnością „próżni są wszyscy ludzie, w których nie ma wiedzy o Bogu; którzy poprzez to, co jest jawnie dobre, nie umieli rozpoznać Tego, który jest”⁵. W takiej marności już nie byłem pogrążony. Przekroczyłem ją. Widząc świadectwo całego stworzenia Twego, zrozumiałem, że Stwórcą naszym, jesteś i że u Ciebie Boga jest Twoje Słowo, które z Tobą i z Duchem Świętym jest jedynym Bogiem i przez które stworzyłeś wszystko, co istnieje. Jest jeszcze inny rodzaj ludzi bezbożnych. Są tacy, którzy poznając Boga nie uczcili Go jako Boga ani nie złożyli Mu dziękczynienia.⁶ Z taką bezbożnością również się spotkałem; i od niej prawica Twoja obroniła mnie. Zabrawszy mnie spośród takich ludzi, przenieś mnie tam, gdzie mogłem odzyskać zdrowie. Ty rzekłeś człowiekowi: „Oto bojaźń Pańska — ta jest mądrość”⁷ Jak też: „Nie uważaj się sam za mądrego”; albowiem „ci, co podają się za mądrych, głupimi się stali”.⁸ I znalazłem już ową dobrą perłę, którą powinienem był nabyć, sprzedawszy wszystko, co miałem. A ja się ociągałem jeszcze!

2. Odwiedziłem więc Symplicjana, który był ojcem duchowym biskupa Ambrożego jako ten, który mu łaski Bożej udzielił. Miłował go też Ambroży naprawdę jak ojca. Opowiedziałem, jak się błąkam po bezdrożach. Wspomniałem, że czytałem kilka książek filozofów platońskich, przełożonych na łacinę przez Wiktoryna, który niegdyś był retorem Rzymu, a umarł, jak słyszałem, jako chrześcijanin. Gratulował mi Symplicjan, że natrafiłem na takie pisma filozoficzne, a nie na jakieś inne, pełne fałszów i czczych urojeń opartych na żywiołach tego świata¹⁰; platońskie bowiem traktaty wszelkimi sposobami starają się mówić o Bogu i Jego Słowie. Następnie zaś, aby mnie zachęcić do pokory Chrystusowej, zakrytej przed mądrymi, a objawionej maluczki¹¹, wspominał samego Wiktoryna. Symplicjan serdecznie się z nim przyjaźnił podczas pobytu w Rzymie. Opowiedział mi też o nim wiele rzeczy, które powtórzę. Bo wielkie to jest świadectwo

wspaniałej łaski Twojej! Stary Wiktoryn był człowiekiem niepospolicie uczonym. Znał do głębi wszystkie sztuki wyzwolone. Ileż dzieł filozoficznych przestudiował, ocenił i skomentował. Był nauczycielem wielu znakomitych senatorów; i z wdzięczności za pracę profesorską, którą synowie tego świata uważają za ogromnie ważną, uczczono go wystawieniem jego posągu na forum w Rzymie. Aż do starości Wiktoryn był czcicielem bożków. Uczestniczył w świętokradczych obrzędach, które gorliwie odprawiała wówczas większość arystokracji rzymskiej, a także lud, składając hołd potwornym bożyszczom z przeróżnych stron świata, nawet Anubisowi szczekającemu jak pies — wszystkim bożyszczom, które niegdyś stanęły do walki przeciw Neptunowi, Wenerze i Minerwie. I oto Rzym się korzył przed tymi, których pokonał. Wiktoryn aż do starości, przez tyle lat, bronił tych obrzędów całym żarem swej wymowy. A na starość nie powstydział się zostać sługą Chrystusa Twego, dziecięciem czerpiącym życie z Twoich źródeł; poddał kark pod Twoje jarzmo, pochylił czoło przed hańbą Krzyża. O Panie, Panie, któryś niebiosa nachylił i zstąpił z nich, któryś gór dotknął, a zadymiły — jakżeś Ty zdołał do tego serca trafić? Symplicjan opowiadał mi, że Wiktoryn zarówno Pismo Święte, jak i inne księgi chrześcijańskie pilnie czytał i rozważał. I nieraz mówił do Symplicjana, jeszcze nie publicznie, ale prywatnie, na osobności: „Wiedz, że już ze mnie chrześcijanin”. A na to Symplicjan: „Nie uwierzę w to ani cię nie uznaję za chrześcijanina, póki cię nie zobaczę w kościele Chrystusa”. A tamten śmiał się z przyjaciela, mówiąc: „Więc to mury czynią ludzi chrześcijanami?” Często powtarzał, że już jest chrześcijaninem. Symplicjan na to odpowiadał, a wtedy bał się narazić swoim przyjaciołom, pysznym czcicielom demonów. Łatwo mógł się domyślić, jaka by się zwała na niego burza wrogości ze szczytu ich babilońskiego dostojeństwa, niczym z wierzchołków cedrów libańskich, których jeszcze Pan nie połamał.

Wreszcie jednak dzięki usilnej lekturze nabył prawdziwej powagi i uląkł się, że Chrystus się go zaprze wobec aniołów świętych, gdyby on się uląkł przyznać do Niego wobec ludzi. Wydał się sam sobie winien wielkiej zbrodni: że wstydzi się pokornych tajemnic Słowa Twego, a nie wstydzi się świętokradczych obrzędów pysznych demonów, które w pysze przejął od innych. Odepchnął więc od siebie marność i zawstydzony zwrócił oczy ku prawdzie. Jak opowiadał Symplicjan, bez żadnych wstępów, zupełnie niespodziewanie rzekł do niego: „Chodźmy do kościoła, chcę być chrześcijaninem”. Symplicjan, nie posiadając się z radości, zaraz z nim poszedł. W kościele najpierw pouczono Wiktoryna o podstawowych tajemnicach naszej wiary, a niebawem wpisał się na listę katechumenów, aby — ku zdziwieniu całego Rzymu, a radości Kościoła — odrodzić się przez chrzest. Pyszni widzieli to i gniew ich trawił; zębami zgrzytali i marnieli. Słudze zaś Twemu, Panie, wypełniła się nadzieja i już nie oglądał się na marność i na szaleństwa omylne.

Nadeszła wreszcie pora wyznania wiary. W Rzymie ludzie, którzy mają wejść w zasięg Twojej łaski, zazwyczaj składają je w przepisanej formule, której się wyuczają na pamięć, a potem z podwyższenia wypowiadają ją wobec licznie zgromadzonych wiernych. Prezbiterzy, jak opowiadał mi Symplicjan, proponowali Wiktorynowi, aby złożył wyznanie wiary prywatnie, jak według zwyczaju

pozwalano niektórym ludziom, jeśli publiczna ceremonia mogłaby im się wydać kłopotliwa. Lecz Wiktoryn swemu ocaleniu w wierze wolał dać świadectwo wobec całej rzeszy wier- nych. Nie było przecież niczego zbawionego w retoryce; a retorykę głosił niegdyś publicznie! O ileż mniej powinien teraz się wahać przed wyznaniem Słowa Twego wobec Twojej łagodnej owczarni, skoro przedtem nie wstydział się głoszenia własnych swoich słów wobec tłumu pomyleńców.

Kiedy wszedł na podwyższenie, jakaż radość ogarnęła wszystkich, którzy go znali! A kto go nie znał? Jeden drugiemu w podnieceniu szeptał jego imię i leciało ono półgłosem z ust do ust przez całą rzeszę: „Wiktoryn! Wiktoryn!” Niebawem buchnął gwar, wiwatowali na jego .cześć, a potem nagle zamilkli, aby go uważnie wysłuchać. Z cudowną ufnością wyznał prawdziwą wiarę. Nie było tam człowieka, który by go nie chciał chwycić w ramiona i przycisnąć do serca. Te ręce, które go objęły, to była miłość ich i rozradowanie.

3. Dobry Boże, co to się dzieje w człowieku, że się bardziej cieszy z ocalenia duszy, która się wydawała już zupełnie stracona, albo duszy wyrwanej z przeraźliwego zagrożenia niż z ocalenia takiej, dla której nigdy nie gasła nadzieja, bo osaczające ją niebezpieczeństwa były mniej straszliwe? Przecież i Ty, Ojczy miłosierny, bardziej się radujesz jednym grzesznikiem pokutującym niż dziewięćdziesięcioma dziewięcioma sprawiedliwymi, którzy pokuty nie potrzebują.¹⁵ My też z weseleni słuchamy o tym, jak uradowany pasterz, gdy znalazł owcę zaginioną, przynosi ją na ramionach i jak powraca do Twego skarbca drachma, a ucieszone sąsiadki gratulują niewieście, która ją znalazła. Podczas radosnego obrzędu w Twojej świątyni napełniają się łzami nasze oczy, gdy słyszymy lekcję ewangeliczną o synu, który umarł był, a ożył, zaginął był, a odnalazł się.¹⁶ Radujesz się wtedy w nas i w aniołach Twoich, które święta miłość uświęca. Albowiem Ty zawsze jesteś ten sam, i w taki sam zawsze sposób znasz wszystko, co ani nie istnieje zawsze, ani nie istnieje stale tak samo. Cóż więc się dzieje w duszy, jeśli odnalezionymi albo oddanymi jej rzeczami, które miłuje, cieszy się ona bardziej, niżby się nimi radowała, gdyby je miała zawsze? Jest wiele świadectw, wszędzie dokoła widzimy wiele dowodów, które wprost krzyczą: Tak właśnie jest! Zwycięski wódz odprawia triumf. Nie zwyciężyłby, gdyby nie walczył. A im groźniejsze było niebezpieczeństwo w boju, tym promienniejsza teraz jest triumfu radość. Burza żeglarzami miota, zda się, że okręt nie uniknie rozbicia, wszystko dokoła nich ciemną groźbą śmierci się powleka. I oto nagle rozjaśnia się niebo, wygładza się morze. Bez miary cieszą się żeglarze, bo przedtem trwożyli się bez miary. Ktoś ukochany choruje, puls jego źle wróży; wszyscy, którzy pragną jego wyzdrowienia, razem z nim w duszy chorują. I oto jego stan się poprawia; wstaje z łóżka, ale chodzi jeszcze niepewnie. A już się wszyscy weselą znacznie goręcej, niż kiedykolwiek się cieszyli dawniej, gdy był zupełnie zdrow i kroczył bez wysiłku.

Nawet proste przyjemności życiowe ludzie osiągną za pomocą przykrości, i to nie jakichś przykrości niespodzianych i spadających na nich wbrew ich woli, lecz wybranych umyślnie i dobrowolnie. Ani jedzenie, ani picie nie dają przyjemności, jeśli ich nie poprzedziła przykreść głodu i pragnienia. Pijacy nieraz zjadają słońce

zakąski, aby ich tym bardziej paliło pragnienie; potem pragnienie zalewają trunkiem i pływają się w błogości. Jest też w zwyczaju że narzeczoną nie od razu wydaje się za mąż; odwleka się ten moment, aby mężczyzna jej nie lekceważył, jeśli się za nią dostatecznie długo nie wykęsnął. Mówiłem tu najpierw o przyjemności wstrętnej i godnej potępienia; potem o dozwolonej i prawowitej. To samo dotyczy najszlachetniejszej i najczystszej przyjaźni, jak też radowania się synem, który umarł był, a ożył, zaginął był, a odnalazł się. W każdym wypadku większa przykrość poprzedza tym większą radość.

Jak to wytłumaczyć, Panie Boże mój, skoro przecież Tyś sam dla siebie radością wiekuiącą i zawsze jesteś otoczony istotami, które się Tobą radują? Dlaczego w tej części stworzenia, którą znamy, to ciągle falowanie: odpływ — przyływ, krzywda — pojednanie? Czy taki jest rytm naszego świata? Czy właśnie to dla niego postanowiłeś, gdy każdemu rodzajowi rzeczy dobrych i każdemu ze sprawiedliwych dzieł Twoich — od szczytu nieba aż do głębin ziemi, od początku świata doczesnego aż do jego końca, od anioła do robaka, od pierwszego do ostatniego poruszenia — wyznaczałeś właściwe miejsce i porę? Biada mi! Jakże wyniosły jesteś tam w górze i jakże w głębiach głęboki! Nigdy od nas nie odchodzisz. A nam tak trudno wrócić do Ciebie!

4. Przyjdź, Panie, i porusz nasze serca. Przywołaj nas do siebie. Zapal nas i porwij. Niech nas owieje Twoja woń i słodycz Twoja — abyśmy już Cię pokochali, już pobiegli ku Tobie. Iluż ludzi do Ciebie powraca z zaślepienia jeszcze głębszego niż owa otchłań, z jakiej się Wiktoryn wynurzył. Przychodzą i oświeca ich jasność, której się poddają. Wszystkim bowiem, którzy przyjmują tę światłość, dajesz moc, aby się stali dziećmi Twoimi.¹⁷ Lecz jeśli są mniej sławni, niż był Wiktoryn, radość jest mniejsza, nawet wśród ludzi, którzy ich znają osobiście. Kiedy bowiem weseli się jednocześnie wielu ludzi, to i w każdym z osobna radość obfitsza się szerzy, bo jeden człowiek drugiego podnieca i zapala. Sławni ludzie dają też zbawienny przykład innym i wielu ich naśladuje. Dlatego ci, którzy już mają wiarę, bardzo się cieszą z takich słynnych konwertytów. Nie chodzi tu, broń Boże, o to, żeby w Twoim domu ludzie bogaci mieli pierwszeństwo przed ubogimi, a ludzie opromienieni siawą przed jakimkolwiek szarym człowiekiem. Przecież Ty raczej wybrałeś to, co słabe u świata, aby zawstydzić potężnych, i co nic nie znaczące, a wzgardzone, i co jest niczym, wybrałeś, jakby było czymś, aby zniszczyć to, co jest czymś.

A jednak nawet ten najmniejszy z apostołów Twoich¹⁹, przez którego usta wypowiedziałeś powyższe słowa, postanowił zmienić swoje imię Saul na nowe imię Paweł, kiedy prokonsul Sergiusz Paweł, którego pychę złamały śmiałe słowa apostoła, pochylił kark pod łagodne jarzmo Chrystusa i stał się poddanym wielkiego Króla. Zmiana imienia miała być znakiem wskazującym na odniesienie tak wspaniałego zwycięstwa. Gruntowniej bowiem pokonujemy diabła, gdy mu odbieramy człowieka, którego mocniej spętał i poprzez którego większą liczbę ludzi trzymał w niewoli. A diabeł mocniej panuje nad tymi, którzy pyszną się wysokim stanowiskiem, jak też za ich pośrednictwem panuje nad większą liczbą ludzi dzięki wpływowi, jaki owi dostojnicy wywierają. Im wyżej więc ceniono

umysł Wiktoryna, w którym się diabeł usadowił jak w niezłomnej twierdzy, i jego talent oratorski, którym jak potężną, ostrą włócznia diabeł tylu ludzi zgładził, tym bardziej się potem weseliły Twoje dzieci, że Król nasz takiego mocarza spętał. Widziały, jak zabrano szatanowi naczynia, które zagrabił, i poddano je oczyszczeniu, aby się stały chwalebne i użyteczne Panu, a nadające się do wszelkiego dzieła dobrego.

5. Kiedy mi Twój sługa Symplicjan opowiedział to wszystko o Wiktorynie, gorąco zapragnąłem pójść taką samą drogą. On to zresztą w tym właśnie celu opowiadał. A dodał jeszcze, że kiedy w czasach cesarza Juliana wydano ustawę zabraniającą chrześcijnom uczenia literatury i retoryki, wtedy Wiktoryn, nie buntując się przeciw temu prawu, wołał jednak porzucić pełną gadulstwa szkołę niż odstąpić od słowa Twego, przez które języki niemowląt czynisz wymownymi.²¹ Wydał mi się w tym nie mniej szczęśliwy niż mężny — szczęśliwy, że się mu nadarzyła sposobność do poświęcenia się całkowicie Tobie. Do tego samego przecież ja wzdychałem, lecz byłem jeszcze ciągle spętany, nie łańcuchem przez kogoś innego narzuconym, lecz moją własną wolą, mającą moc żelaznego łańcucha. Diabeł władał moją wolą, on z niej wykuł łańcuch, którym mnie oplótł. Z przewrotnej woli rodzi się złe pożądanie, a kiedy się jemu służy, wytwarza się przyzwyczajenie; przyzwyczajenie któremu się nie przeciwstawiamy, staje się niezwalczonym przymusem. Były to jakby ogniwa, jedno z drugim mocno spojone — dlatego nazywam to łańcuchem, który mnie ciasno spętał. Nowa zaś chęć, która mi zaświtała, aby Tobie dobrowolnie służyć i radować się Tobą, Boże, jedyna pewna rozkoszy! — ta chęć nie była jeszcze zdolna do pokonania skłonności poprzedniej, umocnionej długim zakorzeniem. Walczyły we mnie dwie wole, dawna i nowa, cielesna i duchowa, i w ich zażartym zmaganiu roztrwaniała się moja dusza. Własnym doświadczeniem mogłem teraz potwierdzić prawdziwość tego, co czytałem, że ciało pożąda przeciw duchowi, a duch przeciw ciału.²² W tej walce byłem po obu stronach, ale bardziej po stronie tego, co w sobie pochwaląłem, niż po stronie tego, co w sobie potępiałem. Po tej drugiej bowiem strome już było coś, co w mniejszym stopniu było mną; było to coś, czemu raczej ulegałem wbrew woli, niż co dobrowolnie czyniłem. Ale sam sprawiłem, że przyzwyczajenie stało się dla mnie tak groźnym przeciwnikiem. Bo z własnej woli doszedłem do tego stanu, którego teraz już nie chciałem. I któż ma prawo się skarżyć, jeśli grzesznika dosięga zasłużona kara? A nie mogłem się już usprawiedliwiać tym, że nie widzę jasno prawdy. Była to wymówka, w jakiej nieraz szukałem usprawiedliwienia mojej opieszałości: tego, że jeszcze nie wzgardziłem sprawami doczesnymi i nie zacząłem służyć Tobie. Bo prawdę teraz widziałem już zupełnie jasno. Ale nadal przykuty do ziemi wymawiałem się od służby pod Twoim znakiem. I zamiast lękać się, że tyle brzemion mnie przygniata i pęta, raczej się lękałem, że będę od nich uwolniony. Ciężarowi świata tak błogo się poddawałem, jak się nieraz człowiek poddaje naporowi snu. A moje rozmyślenia o Tobie były podobne wysiłkom człowieka, który się usiłuje przebudzić, ale nie może i, pokonany, znowu w głębie snu zapada. Nie ma wśród ludzi nikogo, kto by chciał spać bez przerwy. Każdy słusznie mniema, że większą ma wartość jawa.

Nieraz jednak człowiek tak jest odrętwiały, że odwleka chwilę otrząśnięcia się ze snu; nie chciałby dłużej spać, ale tym gorliwiej w sen się pogrąża, chociaż nadeszła już pora przebudzenia. Podobnie ja — byłem już przecież zupełnie pewny, że lepiej byłoby poświęcić się Twojej miłości niżeli własnym namiętnościom ulegać. Lecz jedno, pochwalane, nie odnosiło zwycięstwa. Drugie, pożądane, ciągle mnie pętało. Cóż miałem odpowiedzieć na Twoje wezwanie: „Zbudź się, który śpisz, i powstań z martwych, a oświeci cię Chrystus” ? Chociaż ze wszystkich stron mi okazywałeś, że taka jest prawda, i byłem już o tym zupełnie przekonany, umiałem Ci odpowiadać tylko sennymi słowami omdlałego człowieka: „Jeszcze chwilę! Jeszcze tylko chwilę! Poczekaj nieco...” Lecz ta chwila za chwilą przekraczała wszelką miarę chwil; i to „czekanie nieco” — ciągle się przedłużało.

Daremnie radowałem się z prawa Twojego, jak przystało człowiekowi wewnętrznemu, skoro inne prawo w moim ciele walczyło z prawem umysłu mego i wlokło mnie w niewolę, pod prawo grzechu, które było w członkach moich. Prawem grzechu bowiem jest przemoc przyzwyczajenia, które pociąga i pęta ducha nawet wbrew jego woli, ale nie bez jego winy: bo przecież dobrowolnie nabył tego przyzwyczajenia. Nieszczęsny ja człowiek! Któż miał mnie wyzwolić z ciała wiodącego ku śmierci, jeśli nie łaska Twoja przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego?

6. W jaki sposób wyzwoliłeś mnie z więzów zmysłowego pożądania, które mnie najmocniej krępowały, jak też z wysługiwania się sprawom doczesnym, teraz opowiem. I uwielbię za to imię Twoje, Panie, Wspomożycielu mój i Odkupicielu. Życie moje toczyło się na pozór bez zmian, ale coraz bardziej wzmagał się we mnie niepokój i codziennie z tęsknotą wdychałem ku Tobie. Ilekroć miałem chwilę wolną od przytłaczających mnie zajęć, odwiedzałem Twój kościół. Towarzyszył mi Alipiusz, uwolniony teraz od obowiązków prawniczych po trzecim okresie sprawowania urzędu asesora. Szukał klientów, którzy by mu płacili za udzielanie im porad, podobnie jak mnie uczniowie płacili za to, że ich uczyłem wymowy — jeżeli takiej rzeczy w ogóle można nauczyć. Nebrydiusz zaś z przyjaźni dla nas zgodził się być asystentem bliskiego naszego przyjaciela, mediolańczyka Werekundusa, wykładowcy literatury. Ten od dawna nas błagał — powołując się na prawo przyjaźni — żebyśmy mu spośród siebie wybrali jakiegoś solidnego pomocnika, którego ogromnie potrzebował. Nebrydiusza skłoniło do podjęcia tej pracy nie pragnienie zysku — bo więcej mógłby zarobić, gdyby chciał sam wykładać literaturę.

Po prostu wyświadczał nam przysługę, ulegając naszej prośbie — druh najczulszy i najukochańszy. Zachowywał się zaś bardzo roztropnie, wystrzegając się popularności wśród takich osób, które według opinii tego świata są wielkie. Bał się, że taka popularność mogłaby zakłócić spokój jego ducha. Chciał sobie zapewnić swobodę oraz możliwie jak najwięcej wolnego czasu, aby mógł rozmyślać, czytać i przysłuchiwać się dyskusjom filozoficznym. Pewnego dnia, kiedy Nebrydiusza — już nie pamiętam, z jakiej przyczyny — nie było z nami, odwiedził mnie i Alipiusza w naszym domu niejaki Pontycjan. Był to Afrykańczyk, a więc nasz ziomek; piastował wysokie stanowisko na dworze cesarskim. Miał on do nas jakąś sprawę. Siedliśmy więc i rozmawialiśmy. Nagle Pontycjan zauważył na stojącym

w pobliżu stole, przeznaczonym do gier, książkę. Wziął ją w ręce, otworzył i ze zdziwieniem stwierdził, że to apostoł Paweł. Afrykańczyk spodziewał się raczej jakiejś książki związanej z tą oratorską profesją, która mnie wyniszczyła. Uśmiechnął się i patrząc mi głęboko w oczy, powiedział, jak bardzo się cieszy, że tu, najbliżej mnie, znalazł tę właśnie, i tylko tę, książkę. Okazało się, że był to chrześcijanin, wierny Twój sługa, który często przed Tobą, naszym Bogiem, klękał w kościele, modląc się długo i żarliwie. Kiedy mu powiedziałem, że bardzo dokładnie studiuję pisma apostoła Pawła, zaczął mi opowiadać o mnichu Antonim z Egiptu. Słudzy Twoi niezmiernie czcili imię tego męża; ale nam było ono dotychczas nie znane. Zaskoczony, że nic o nim nie wiemy, Pontycjan szczegółowo nam opowiadał o Antonim, abyśmy wreszcie poznali postać tego wielkiego człowieka. Nie mógł się nadziwić, że nigdy przedtem o nim nie słyszeliśmy. My zaś zdumiewaliśmy się tym, że oto tak niedawno, właściwie w naszych czasach, dokonałeś Panie, tak wielkich cudów — w siedzibie prawdziwej wiary, w katolickim Kościele. Wszyscy więc byliśmy zdziwieni: my — że to były rzeczy tak wspaniałe; on — żeśmy dotąd o nich nie słyszeli. Następnie zaczął Pontycjan opowiadać o wspólnotach zakonników żyjących w klasztorach, o ich obyczajach tchnących Twoją słodyczą, jak też o płodnych pustyniach, krainach pustelników; o tym też nie wiedzieliśmy dotychczas nic a nic. Nie wiedzieliśmy nawet tego, że tuż, w Mediolanie, za murami miasta znajdował się klasztor pełen dobrych braci, pozostający pod pieczęcią Ambrożego. Pontycjan opowiadał i opowiadał, a my siedzieliśmy bez słowa, zaszuchani. W jakimś momencie zaczął mówić o swoim pobycie, razem z trzema towarzyszami, w Trewirze. Pewnego popołudnia, kiedy cesarz przypatrywał się igrzyskom w cyrku, oni wyszli na przechadzkę po ogrodach przylegających do murów miejskich. Podzielili się na dwie grupy: Pontycjan szedł z jednym towarzyszem, a osobno szli dwaj inni. Właśnie wtedy druga z tych par natrafiła na dom, w którym mieszkali Twoi słudzy ubodzy w duchu, tacy, których jest królestwo niebieskie.²⁸ I znaleźli tam książkę z opisem życia Antoniego. Jeden z nich zaczął czytać i stopniowo budził się w nim coraz większy podziw, coraz głębsze wzruszenie. Zanim przestał czytać, już myślał o tym, żeby wybrać takie życie i porzuciwszy doczesną służbę zaciągnąć się pod Twój znak; a byli oni tak zwanymi *agentes in rebus* ²⁷. Ogarnęła go tęsknota do świętości. Jego dotychczasowe życie budziło w nim wstyd i gniew. Podniósł oczy znad książki i rzekł do przyjaciela: „Słuchaj, co my właściwie chcemy osiągnąć wszystkimi naszymi staraniami? Czego szukamy? W jakim celu pełnimy naszą służbę? Czyż możemy spodziewać się w pałacu czegokolwiek ponad to, że otrzymamy tytuł przyjaciół cesarza? A czyż wtedy nasze położenie nie będzie nadzwyczaj niepewne i niebezpieczne? A przez ileż to innych niebezpieczeństw brnie się do tego większego zagrożenia? I jak długo trzeba będzie do tego dążyć? A przyjacielem Boga — jeśli tylko zechcę — w tej oto chwili się staje”. Tak rzekł i znowu pochylił się nad książką, targany bólem rodzącego się w nim nowego życia. Czytał i wewnątrz się przemieniał, co tylko Ty mogłeś dostrzec. Duch jego, jak miało niebawem się okazać, uwalniał się od świata. Kiedy czytał i kiedy serce łomotało mu w piersi, z której się wydzierają stłumione westchnienia, rozpoznawał lepszą drogę życia i podejmował postanowienie, że będzie po niej kroczył. Już

należał do Ciebie! „Już się oderwałem od naszej dawnej nadziei — rzekł do przyjaciela — i postanowiłem służyć Bogu, a zaczynam to już teraz, w tej godzinie, w tym miejscu, gdzie jestem. Jeśli nie chcesz mnie naśladować, to przynajmniej mi nie przeszkadzaj!” Lecz tamten rzekł, że owszem, zostanie razem z nim, bo taka służba jest zaszczytna i wielka za nią będzie nagroda. I obaj, należąc już do Ciebie, zbudowali wieżę kosztem odpowiednim — czyli kosztem porzucenia wszystkiego, co mieli, i pójścia za Tobą.²⁸ Pontycjan zaś i towarzysz, który razem z nim się przechadzał w innej części ogrodu, szukając tamtych dwóch wreszcie doszli do owego domu, a zobaczywszy kolegów wezwali ich do powrotu, bo już zmierzch zapadał. Wtedy tamci opowiedzieli o swoim postanowieniu i zamiarach, jak też wyjaśnili, w jaki sposób ukształtowała się w nich i umocniła taka decyzja. Prosilili towarzyszy, żeby jeśli sami się do nich nie przyłączą, im dali spokój — oni chcą tu zostać. Pontycjan i jego towarzysz wprawdzie nie zmienili sposobu życia, jednak byli — jak nam opowiadał — do łez poruszeni tym zdarzeniem. Z wielką czcią wyrazili im swój podziw, polecili się ich modlitwom i — dźwigając serca ciężące ku ziemi — wrócili do pałacu. Tamci zaś, sercami przywarłszy do niebios, zostali w owym domu. Obaj ci ludzie mieli narzeczone. Gdy dowiedziały się o ich postanowieniu, one także ofiarowały swe dziewictwo Tobie. Wszystko to nam opowiadał Pontycjan.

7. Ty zaś, Panie, jego słowami odwracałeś mój wzrok, abym wreszcie spojrział na samego siebie. Bo ja samego siebie umieściłem gdzieś za swoimi plecami, aby siebie nie dostrzegać. I oto mi stawiałeś przed oczyma mnie samego, abym zobaczył, jaki jestem wstrętny, pokręcony, brudny, okryty wrzodami, ociekający ropą. Patrzyłem i ogarniało mnie przerażenie, a nie było dokąd uciec od tego widoku. Gdy usiłowałem od siebie wzrok odwrócić, Pontycjan dalej snuł opowieść swoją, którą Ty znowu stawiałeś mnie naprzeciw mnie samego, oczy mi kłułeś mną samym, abym wreszcie zrozumiał moją niegodziwość i abym ją znienawidził. Znałem ją przecież — lecz udawałem, że nie znam; przymykałem oczy i udawało mi się zapomnieć. Teraz jednak, im bardziej rozgrzewało się moje serce od opowieści o zbawiennym postanowieniu owych ludzi, którzy Tobie powierzyli całych siebie, żebyś ich uleczył — tym straszliwiej, porównując ich z sobą, sobą pogardzałem. Ileż to lat upłynęło — chyba dwanaście? — od owego dziewiętnastego roku mego życia, gdy po przeczytaniu *Hortensjusza* Cyclerona zapaliłem się do studiowania filozofii. A ciągle jeszcze odwlekałem ten moment, w którym, wzgardziwszy szczęściem ziemskim, miałem poświęcić się szukaniu innego szczęścia, takiego, którego nawet już nie znalazienie, ale samo szukanie było cenniejsze od wszelkich bogactw i królestw świata i od opływania we wszystkie materialne rozkosze, jakich tylko można by zapragnąć.

Moja młodość była szczególnie obłądna, zwłaszcza sam jej świt, gdy tak Ciebie prosiłem o czystość obyczajów: „Daj mi czystość i umiarkowanie, ale jeszcze nie w tej chwili”. Był we mnie lęk, że mógłbyś mnie zbyt szybko wysłuchać i od razu mnie uleczyć z choroby pożądania, które chciałem raczej nasycić niż zgasić. Kroczyłem drogą występków, pełen bluźnierczych przesądów, nie tyle przekonany o ich słuszności, ile raczej szukając w nich oparcia przeciw innym przekonaniom,

które — zamiast badać pobożnie — nienawistnie zwalczałem. Udawałem wobec samego siebie, że przyczyną, dla której z dnia na dzień odkładam chwilę odepchnięcia wszelkich rachub doczesnych, aby pójść tylko za Tobą, było to, iż mi się jeszcze nie ukazała żadna pewność, ku której mógłbym kroczyć. Lecz teraz nadszedł dzień, w którym stanąłem sam przed sobą obnażony. A sumienie nie szczędziło mi chłosty. „Ciągle milczysz? — krzyczało ono we mnie. — Przecież zawsze twierdziłeś, że ze względu na niepewność prawdy nie chcesz jeszcze odrzucać brzemienia tej marnej doczesności. Lecz oto prawda już się rozjaśniła. A tamto brzemie ciągle cię przygniata, podczas gdy inni ludzie precz je odrzucają i zaraz skrzydła rosną im u ramion — chociaż nie ślęczeli nad takim badaniem, nie medytowali o tych sprawach przez dziesięć lat czy więcej.” Wstyd przeraźliwy targał i rozdzierał moją duszę, gdy Pontycjan snuł swoją opowieść. Skończywszy zaś, a omówiwszy też sprawę, którą przyszedł załatwić, wrócił do siebie. A ja też do siebie wróciłem... Jakże siebie oskarżałem w myślach, jakże zażarcie chłostałem moją duszę, która się ociągała w tyle, gdym ja ku Tobie kroczyć pragnął. Stała, nie chciała iść naprzód, chociaż teraz nie miała już żadnych usprawiedliwień. Rozpadły się bowiem i rozwiały wszystkie jej argumenty. Została ylko niema trwoga. Bo niby śmierci lękała się dusza oderwania od owego nurtu przyzwyczajenia, który ją niósł ku śmierci.

8. Wnętrze mojej istoty przestało być spokojnym domem. W zamęcie walki, jaką toczyłem z moją duszą w naszej najbardziej odosobnionej komnacie, w sercu moim, zwracam się nagle do Alipiusza — z wyrazu twarzy na pewno mógł odczytać niepokój moich myśli — i wołam: „Na co my czekamy? Czy pojąłeś sens tej opowieści? Powstają prostaczkowie i zdobywają niebo, a my, z całą naszą bezduszną uczonością, tarzamy się w ciele i krwi. Czy dlatego wstydzimy się iść za nimi, że oni nas wyprzedzili? Czy nie jest gorszym wstydem — w ogóle nie pójść tą drogą?”

Nie pamiętam dokładnie, jakimi słowami te myśli wyraziłem. Nie panując już nad sobą, zerwałem się i wyszedłem. Alipiusz, osłupiały, patrzył na mnie milcząc. Głos mój brzmiał inaczej niż zwykle. O stanie mego ducha więcej mówiły czoło, oczy, płonące policzki, łamiący się głos niżeli same te słowa, jakie z gardła dobyć mogłem. Przy domu, który wynajęliśmy, był ogródek, z którego mogliśmy korzystać, jak i z całego domu, bo właściciel w ogóle tam nie mieszkał. Moje wzburzenie wyгнаło mnie do tego ogródka. Tam nikt nie mógł przeszkodzić owej zażartej walce, jaką toczyłem z samym sobą; jej wynik Ty już znałeś, a ja nie znałem go jeszcze. Szalałem zbawiennie; umierałem — ku życiu. Znałem zło, jakie było we mnie, a nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z dobra, jakie już niebawem miało się we mnie narodzić. Chodziłem po ogrodzie, a Alipiusz krok w krok za mną. Jego obecność nigdy nie przeszkadzała mojej samotności. A jakże by mógł tak wzburzonego opuścić?

Usiedliśmy jak najdalej od domu. Jęczałem z gniewu, miotałem się przeciwko sobie, że nie idę za wola i przymierzem Twoim, Boże mój, tam, dokąd iść powinienem — jak wołały wszystkie kości moje, wysławiając Cię pod niebiosa. A przecież, żeby tam dotrzeć, nie potrzebowałem ani okrętów, ani wozów, ani nawet

takich kroków, jakimi doszedłem z domu do tego miejsca, gdzieśmy siedzieli. Aby wyruszyć w tę podróż, a nawet dotrzeć do celu, wystarczyłoby tylko chcieć tam iść — ale chcieć mocno i rzetelnie. Nie nadawała się do tego kulawa wola, która raz w jedną, raz w drugą stronę się miotła i musiała sama z sobą walczyć, gdy jedna jej część się podnosiła, aby iść, a druga upadała. W tej udręce, w tym porażeniu woli wykonywałem jednak wiele czynności fizycznych, jakich nieraz ludzie wykonać nie mogą, choćby nie wiem jak tego chcieli — jeśli albo utracili jakieś członki, albo ich spętano, albo obezwładniła ich choroba czy też w jakikolwiek inny sposób mają ograniczoną możliwość poruszania się. Targałem włosy, gniołem czoło pięściami, splecionymi dłońmi ścisnąłem kolano. Czyniłem to, bo tego chciała moja wola. A mogłoby się tak zdarzyć, że pomimo chęci nie mógłbym tego uczynić, gdyby członki moje nie poruszały się zgodnie z moją wolą. Tyle więc wykonałem czynności, w których chcieć nie zawsze znaczy móc. A nie zabierałem się do uczynienia tego, czego nieporównanie goręcej pragnąłem. A przecież mógłbym tego dokonać od razu, gdybym tylko zechciał, bo gdybym raz zechciał, to bym zechciał całą duszą. W tej bowiem sprawie móc jest tym samym co chcieć i sama wola jest już dokonaniem. A jednak to się nie dokonywało. Skorzej ciało słuchało najłżejszego odruchu woli duszy, aby na pierwsze skinienie wprowadzić członki w ruch, niżeli sama dusza sobie była skłonna otworzyć drogę do wypełnienia swego wielkiego pragnienia — wypełnienia samym tylko aktem woli.

9. Dlaczego tak dziwnie się dzieje? Co jest tego przyczyną? Racz miłosiernie mnie oświecić. Może wytłumaczenie kryje się w cieniu kar wymierzonych rodzajowi ludzkiemu, w najmroczniejszych udrękach synów Adamowych. Dlaczego więc tak się dziwnie dzieje i co jest tego przyczyną?

Umysł rozkazuje ciału i ono jest natychmiast posłuszne. Umysł rozkazuje sobie — i stawia sobie opór. Umysł żąda, aby ręka się poruszyła, i rzecz się dokonuje tak łatwo, że wprost nie można odróżnić wypełnienia rozkazu od samego rozkazu. A przecież umysł jest umysłem, ręka zaś członkiem ciała. Umysł żąda, aby umysł czegoś chciał — sobie rozkazuje, a nie czemukolwiek innemu — i nie wypełnia rozkazu. O, dlaczego tak dziwnie się dzieje i co jest tego przyczyną? Umysł nakazuje tylko, żeby sam chciał, a przecież nie nakazywałby, gdyby nie chciał, a jednak nie dzieje się to, co nakazał. Lecz on nie w pełni chce; więc i nie w pełni nakazuje. W takim tylko stopniu nakazuje, w jakim chce; a w takim stopniu udaremnione jest to, co nakazuje, w jakim nie chce tego. Oto wola nakazuje, żeby była wola — nie jakaś inna, lecz ona sama. Ale nie w pełni nakazuje; więc nie wypełnia się to, co ona nakazuje. Gdyby była pełna, to by sobie nie nakazywała być, bo już by była przecież. Nie jest to jakieś niewytłumaczalne zjawisko — częściowo chcieć, częściowo nie chcieć — lecz choroba duszy, polegająca na tym, że umysł nie cały dźwiga się w górę ku prawdzie; w dół go ciągnie siła przyzwyczajenia. Wtedy się wola rozszczepia na dwie wole, z których żadna nie jest wolą całkowitą; jedna ma to, czego drugiej brakuje

10. Niechaj sprzed Twego oblicza, Boże, znikną, jak gadatliwi zwodziciele, ci, którzy zauważając w naszym akcie podejmowania decyzji dwie sprzeczne chęci,

twierdzą, że mamy dwie dusze różnej natury, jedną dobrą, drugą złą. Oni to są naprawdę źli, jeśli tak źle mniemają. Ale i oni staną się dobrymi, jeżeli wreszcie pojmą prawdę i jej przyświadczą — jak to apostoł Twój powiada: „Niegdyś byliście ciemnością, ale teraz jesteście światłością w Panu”²⁹. Oni jednak chcą być światłością nie w Panu, ale w sobie samych, mniemając, że natura duszy jest tym, czym jest Bóg. Stali się więc jeszcze gęstsza ciemnością, bo w przeraźliwej pysze jeszcze dalej od Ciebie odeszli — od Ciebie, światłości prawdziwej, która oświeca każdego człowieka, na ten świat przychodzącego.³⁰ Tylko przez chwilę zastanówcie się wy nad tym, co mówicie, a zarumienicie się ze wstydu. Zbliżcie się do Niego, przyjmijcie światło, a odtąd nie będziecie się okrywać rumieńcem wstydu. To było tak: Gdy usiłowałem podjąć decyzję służenia Panu Bogu mojemu zgodnie z żywionym od dawna zamiarem, ja sam byłem tym, który chciał, jak też ja sam byłem tym, który nie chciał. To ja byłem, tylko ja, a nikt inny!

Ale ani nie przyjmowałem tej decyzji, ani jej nie odrzucałem pełnią mojej woli. Przeto spierałem się z sobą i sam roztrwaniałem swoje siły. Wszystko to działo się ze mną wbrew mojej woli, ale przejawiała się w tym nie natura jakiejś obcej duszy, lecz tylko kara na moją własną duszę spadająca. Więc już nie ja to czyniłem, ale grzech, który tkwił we mnie.³¹ Była to część kary za grzech dobrowolnie popełniony przez mojego przodka, Adama. Gdyby rzeczywiście było w nas tyle sprzecznych natur, ile jest rozbieżnych odruchów woli, to nie dwie mielibyśmy natury, ale jakże wiele natur!

Przypuśćmy, że ktoś się zastanawia, czy ma iść na zebranie manichejczyków, czy raczej do teatru. Już oni krzyczą: „Oto dwie natury. Jedna, dobra, tu do nas go prowadzi; druga, zła, na tamte manowce go wiedzie. Bo jakże inaczej wytłumaczyć to ścieranie się sprzecznych chęci?” A ja powiem, że w tym wypadku obie chęci są złe: i ta, co dąży do manichejczyków, i ta, co zmierza do teatru.

Ale według ich opinii — chęć ku nim skierowana musi być dobra. Przypuśćmy, że ktoś z nas będzie się wahał i miotał między dwiema sprzecznymi chęciami: czy ma iść do teatru, czy do naszego kościoła. Czyż i manichejczycy nie będą się wahać, jak to powinni ocenić? Albo musieliby przyznać — czego przyznać nie chcą — że dobra jest chęć wiodąca człowieka do naszego kościoła (jak do niego zmierzają ci, którzy stale się karmią jego sakramentami), albo twierdzić, że w jednym człowieku mogą z sobą walczyć dwie złe natury i dwie złe dusze; tym twierdzeniem zaprzeczyliby swemu zwykłemu przekonaniu, że jedna natura jest dobra, a druga zła. Jedyna inna możliwość, jaka się przed nimi otwiera, to nawrócenie się ku prawdzie i niezaprzeczanie temu, że kiedy człowiek się waha, jedna dusza jest w różne strony popychana sprzecznymi chęciami. Niechże więc nam nie mówią, że ilekroć zauważają w jednym człowieku sprzeczne chęci, dostrzegają w nim walczące z sobą dwie przeciwne dusze, biorące początek z przeciwnych substancji i przeciwnych zasad, jedną dobrą, a drugą złą. Ty sam, Boże prawdomówny, wykazujesz, że oni się my-

la. Obalasz ich wywody i odsłaniasz ich fałsz. Może tak być, że obie sprzeczne chęci są złe, na przykład wtedy, gdy się ktoś zastanawia, czy ma człowieka pozbawić życia trucizną, czy sztyletem; czy ma mu wydrzeć tę, czy tamtą jego posiadłość, skoro obu naraz zagarnąć nie może; czy ma pieniądze wydać na

rozpustę, czy trząść się nad nimi jak skąpiec; czy ma iść do cyrku, czy do teatru, jeśli w jednym dniu odbywają się i tu, i tam przedstawienia. W tym ostatnim przykładzie dodam jeszcze trzecią możliwość: czy ma obrabować czyjś dom, jeśli się nadarzy sposobność. Dodam i czwartą możliwość: czy ma iść popełnić cudzołóstwo, jeżeli w tym samym dniu będzie miał i taką sposobność. Wszystkie te możliwości mogą się nastęczyć w tym samym momencie i wszystkie mogą się wydać jednakowo godne pożądanego, chociaż się nawzajem wykluczają. Wtedy rozdierać muszą duszę cztery sprzeczne chęci albo jeszcze więcej — wobec takiej mnogości rzeczy, jakich można pragnąć. A przecież manichejczycy nie twierdzą, że w człowieku jest aż tyle rozbieżnych substancji.

A to samo przecież dotyczy dobrych chęci. Chciałbym ich zapytać, czy to jest dobre: zagłębić się w pismach apostoła Pawła albo spokojnie się napawać jakimś psalmem, albo też rozważać jakiś ustęp Ewangelii? W każdym wypadku odpowiedzą: to jest dobre. Cóż więc, jeśli kogoś wszystkie te możliwości jednakowo pociągają i wszystkie w tym samym momencie? Czy sprzeczne chęci nie ciągną jego serca w różne strony, gdy się zastanawia, do czego powinien rękę wyciągnąć? Przecież wszystkie te możliwości są dobre, a jednak ścierają się z sobą, dopóki człowiek jednej z nich nie wybierze: wtedy już tylko ku niej kieruje się cała jego wola, która przedtem między wiele możliwości

była podzielona. Podobnie się dzieje, kiedy blask wieczności przyzywa nas ku wyżynom, a uroki doczesne przy ziemi nas więżą. Również wtedy jest w nas jedna tylko dusza, która ani jednego, ani drugiego nie pragnie pełnią swojej woli; i rozdiera ją spór bolesny, gdy prawda każe jej kroczyć jedną drogą, a przyzwyczajenie nie pozwala porzucić drogi zupełnie innej!

11. Taka też była moja choroba i męka, gdy oskarżałem siebie zażarciej niż kiedykolwiek przedtem, miotając się i szamocząc w pętającym mnie łańcuchu. Spodziewałem się, że niebawem łańcuch pęknie, bo stał się już cienki. A jednak ciągle mnie oplatał. Ty zaś, Panie, czuwałaś stale nad moimi tajemnymi przeżyciami, w surowym miłosierdziu chłoscząc mnie dwoistym biczem lęku i wstydu, abym się znowu nie osunął w uległość — bo wtedy nawet ten cienki i kruchy łańcuch, który mnie jeszcze oplatał, wcale by nie pękł, lecz raczej by okrzepnął i ciaśniej by mnie spętał. Mówiłem sobie w głębi duszy: „Niech się już stanie! Niech się stanie!” — i same te słowa zdawały się mnie prowadzić na próg decyzji. Już prawie ją podejmowałem — i powstrzymałem się. Nie osuwałem się wprawdzie do dawnego stanu. Zatrzymałem się na samym progu, aby zaczerpnąć oddechu. I znowu próbowałem przekroczyć próg — już byłem trochę bliższy celu, i jeszcze bliższy, już niemal tego dotykałem, już niemal ujmowałem w dłonie... Ale nie mogłem dosięgnąć, nie mogłem dotknąć, ująć. Ciągle odwlekałem ten moment, w którym miałem umrzeć dla śmierci, a dla życia żyć zacząć. Większą miało we mnie moc zakorzenione zło niż dobro, do którego nie przywykłem. Im bliższy był moment, w którym się miałem stać czymś innym, niż byłem, tym większą wzbudzał on we mnie grozę. Lecz mnie nie cofał, nie spychał z drogi, po której szedłem — tylko unieruchamiał mnie i więził.

Zatrzymywały mnie zupełne głupstwa, skończone marnościami, moje stare przyjaciółki. Chwytały mnie za szatę cielesną i szeptały: „Opuszczysz nas? I od tej chwili już przenigdy nie będziemy z tobą? I od tej chwili już przenigdy nie będzie ci wolno tego czy tamtego?” Co one miały na myśli, mówiąc o „tym czy tamtym”? Co miały na myśli, Boże mój? Niechże Twoje miłosierdzie odwróci od służby Twojej tę ohydę, tę hańbę, jaką mi raiły. Ale głosy te wydawały się już mniej niż w połowie tak głośne, jak były niegdyś. Już nie zastępowały mi drogi, aby jawnie się spierać; podszeptywały swoje rady jak gdyby za moimi plecami, a gdy się od nich odsuwałem i szedłem naprzód, jakby ukradkiem skubały moją szatę, abym się obejrzał. Potrafiły jednak to osiągnąć, że nadal nie umiałem zupełnie się od nich oderwać, otrząsnąć się, przekroczyć granicę dzielącą mnie od tamtej strony, dokąd mnie wzywałeś. Bo przemożne przyzwyczajenie mówiło: „Czy sądzisz, że będziesz mógł żyć bez tych rzeczy?” Lecz mówiło już drżącym głosem. Odslaniała się już bowiem — ilekroć w tamtą drugą stronę spojrzełem — za tą granicą, którą lękałem się przekroczyć, szlachetna piękność umiarkowania, jaśniejąca radością nie zbrukana, skromnie przyzywająca mnie do siebie, abym wreszcie przyszedł, abym już dłużej się nie wahał. Wyciągała miłujące ramiona, aby mnie ogarnąć nimi i uścisnąć, a ręce jej były pełne dobrych przykładów, które mi ukazywała. Iluż tam było chłopców, ile dziewcząt, ilu młodzieńców i ludzi wszelkiego wieku, ileż poważnych wdów, jak też kobiet, co do starości dożyły w dziewictwie.

A we wszystkich jaśniała ta sama powściągliwość bynajmniej nie jałowa, lecz będąca płodną matką rozlicznych dzieci, czyli radości narodzonych z zaślubienia Ciebie, Panie. Ta piękna powściągliwość śmiała się ze mnie, jakby chcąc tym szyderstwem dodać mi odwagi: „Nie stać cię na to, na co było stać tych mężczyzn i te kobiety? A czyż oni w sobie samych znajdują siłę? O, nie, nie w sobie, lecz w Panu Bogu swoim! To przecież Pan Bóg ich obdarzył mną. Czemu na sobie samym się opierasz — i upadasz? Rzuć się ku Niemu! Nie obawiaj się — On się nie cofnie, abyś upadł. Rzuć się z całą ufnością, On przygarnie cię i uleczy”. Jakież wstyd mnie palił! Bo jeszcze ciągle słyszałem szept tamtych głupstw i nadal stałem zamarły w bezruchu. A powściągliwość mówiła, zdało się, nadal: „Ogłuchnij na nieczyste podszepty twego ciała. Musisz je umartwić. Prawią ci one baśnie, nie według prawa Pana Boga twego”. Takie to się kłębiły walki w moim sercu — nie o kogokolwiek innego, lecz o mnie samego, przeciwko mnie samemu. Alipiusz zaś, nie odstępując ode mnie, w milczeniu czekał na wynik tak niezwykłego boju.

12. A skoro dociekliwa myśl zgarnęła z najskrytszych ostępów duszy całą moją nędzę i wyciągnęła ją na powierzchnię, przed oczy mego serca, wtedy się wreszcie zerwała we mnie burza, niosąc deszcz łez rzęsisty. Aby się wypłakać, podniosłem się i odszedłem od Alipiusza. Wydało mi się, że najlepiej jest płakać w samotności. Odszedłem więc dostatecznie daleko, aby nawet jego obecność mi nie przeszkadzała. Musiał się domyślać, co się ze mną dzieje, bo zdaje się, że odchodząc coś do niego powiedziałem i głos mój już wtedy się łamał wzbierającym we mnie płaczem. Alipiusz, porażony zdumieniem, pozostał tam, gdzie przedtem siedzieliśmy razem. A ja rzuciłem się gdzieś na ziemię, u stóp drzewa figowego.

Już nie powstrzymałem łez, które zaraz popłynęły z moich oczu strumieniem — ofiara, jaka Ty łaskawie przyjmujesz. I nie takimi wprawdzie słowami, ale w takiej myśli przemawiałem do Ciebie: „O Panie, czemu zwlekasz? Dokądże, Panie? Wciąż gniewać się będziesz? Zapomnij o dawnych nieprawościach naszych!” Czułem bowiem, że to one, te nieprawości, mnie więżą, więc krzychałem z głębi niedoli: „Jak długo, jak długo jeszcze? Ciągłe jutro i jutro? Dlaczego nie w tej chwili? Dlaczego nie teraz już kres tego, co we mnie wstrętne?” Tak mówiłem i w bezmiernie gorzkiej skrusze serca płakałem.

I nagle słyszę dziecięcy głos z sąsiedniego domu, nie wiem, czy chłopca, czy dziewczyny, jak co chwila powtarza śpiewnie taki refren: „Weź to, czytaj! Weź to, czytaj!” Ocknąłem się i w wielkim napięciu usiłowałem sobie przypomnieć, czy w jakimkolwiek rodzaju zabawy dzieci śpiewają taką piosenkę. Nie przychodziło mi do głowy, żebym to kiedyś przedtem słyszał. Zdusiwszy w sobie łkanie, podniosłem się z ziemi, znajdując tylko takie wytłumaczenie, że musi to być nakaz Boży, abym otworzył książkę i czytał ten rozdział, na który najpierw natrafę. Dowiedziałem się bowiem, że Antoni poprzez lekcję ewangeliczną, którą przypadkiem usłyszał w kościele, otrzymał

tak wyraźne pouczenie, jakby bezpośrednio do niego były zwrócone słowa: „Idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie; a przyjdź i pójdź za mną”³³. I dzięki tej wyroczni od razu nawrócił się ku Tobie. Spiesznie więc wróciłem do tego miejsca, gdzie Alipiusz przez cały czas siedział. Pamiętałem, że zostawiłem tam, odchodząc, tom pism apostoła. Chwyciłem książkę, otworzyłem i czytałem w milczeniu słowa, na które najpierw padł mój wzrok: „...nie w ucztach i pijaństwie, nie w rozpuście i rozwiązłości, nie w zwadzie i zazdrości. Ale przyobleczcie się w Pana Jezusa Chrystusa, a nie ulegajcie staraniom o ciało i jego pożądlivości”³⁴. Ani nie chciałem więcej czytać, ani nie było to potrzebne. Ledwie doczytałem tych słów, stało się tak, jakby do mego serca spłynęło strumieniem światło ufności, przed którym cała ciemność wątpienia natychmiast się rozproszyła. Zaznaczywszy to miejsce palcem — czy jakimś innym znakiem, nie pamiętam — zaniknąłem książkę i już ze spokojną twarzą powiedziałem Alipiuszowi, co się stało. Alipiusz mi z kolei opowiedział, co on odczuwał; ja sobie z tego nie zdawałem sprawy. Chciał też zobaczyć, co przeczytałem w książce. Pokazałem mu, a on odczytał jeszcze dalszy ciąg tekstu. Ja nie wiedziałem, co tam było dalej. Padały tam słowa: „A słabego w wierze przyjmujcie”.

To Alipiusz odniósł, jak mi wyjaśnił, do siebie. Takie zaś upomnienie wystarczyło, aby go wewnętrznie umocnić. Nie przechodząc przez żaden zamęt wątpliwości, Alipiusz moje postanowienia i zamiary uznał za swoje. Doskonale się one zgadzały z jego obyczajami, jakimi już od dawna niezmiernie górował nade mną. Zaraz potem idziemy do mojej matki. Mówimy, co się dzieje. Jej radość! Opowiadamy, jak to się stało. Jakże cieszy się, jak triumfuje! Błogosławiła Ciebie, któryś mocen jest uczynić daleko więcej niż to, o co prosimy.³⁶ Bo widziała, że o wiele obfitszej udzieliłeś łaski, niż ona kiedykolwiek śmiała w mojej intencji prosić, płacząc gorzkimi łzami. Do tego bowiem stopnia nawróciłeś mnie ku Tobie, że już nie szukałem ani żony, ani żadnej w ogóle nadziei doczesnej, stanąwszy mocno na

fundamencie wiary — tak jak się jej niegdyś, przed wieloma laty, ukazałem we śnie. Smutek jej przemieniłeś w radość zaćmiewającą wszystkie jej marzenia, o wiele słodsza i czystsza od tej, której mogłaby się spodziewać po wnukach, pochodzących ode mnie cieleśnie.

- 36 Por. Ef 3, 20.
- 1 Por. 1 Kor 13, 12.
- 2 Por. 1 Kor 5, 7.
- 3 Por. 1 Kor 7, 1—7. 4 Por. Mt 19, 12. 5 Mdr 13, 1.
- 6 Por. Rz 1, 21.
- 7 Job 28, 28.
- 8 Prz 3, 7; Rz 1, 22
- 9 Por. Mt 13, 46.
- 10 Por. Kol 2, 8.
- 11 Por. Mt 11, 25.
- 12 Por. Wergiliusz, *Eneida* VIII 698—700.
- 13 Por Ps 28, 5.
- 14 Por. Ps 111, 10; 39, 5.
- 15 Por. Łk 15, 7.
- 16 Por. Łk 15, 3—32.
- 17 Por. J 1, 12.
- 18 Por. 1 Kor 1, 27—28.
- 19 Por. 1 Kor 15, 9.
- 20 Por. 2 Tm 2, 21.
- 21 Por. Mdr 10, 21.
- 22 Por. Ga 5, 17.
- 23 Ef 5, 14.
- 24 Por. Rz 7, 22—23.
- 25 Por. Rz 7, 24.
- 26 Por. Mt 5, 3.
- 27 Wyrażenie oznaczające tajną policję cesarską.
- 28 Por. Lk 14, 28—30.
- 29 Ef 5, 8. 30 Por. J 1, 9.
- 31 Por. Rz 7, 17.
- 32 Por. Ps 78, 5. 8.
- 33 Mt 19, 21.
- 34 Rz 13, 13—14.
- 35 Rz 14, 1.